

LEKTOR: Audycje Kulturalne – w dobrym tonie.

ALEKSANDRA GALANT: **To są Audycje Kulturalne, podcast Narodowego Centrum Kultury, przy mikrofonie Aleksandra Galant. Myślę, że wszyscy mamy takich artystów aktorów, którzy w jakiś sposób towarzyszą nam przez całe życie, pojawiali się np. w serialach, które oglądali nasi rodzice co wieczór, którzy towarzyszyli nam w tym dorastaniu, zmieniając czasem seriale, pojawiając się w trochę innych obrazach czy rolach. I wydaje mi się, że taką postacią, która zakorzeniła się w świadomości bardzo wielu Polaków, jest właśnie Roman Wilhelmi, który czasem spoglądał na nas z kinowego ekranu, innym razem pojawiał się w telewizorze przy okazji serialu "Alternatywy 4", jeszcze inni pamiętają go jako Olgierda Jarosza z serialu "Czterej pancerni i pies". Myślę, że to jest jeden w ogóle z najważniejszych seriali w historii polskiej telewizji, ale to nie seriale będą bohaterami naszego dzisiejszego spotkania, a Roman Wilhelmi, bo on te wszystkie produkcje, o których mówiłam, łączy. Był postacią nietuzinkową, o której powiedziano wiele. Różne opinie na jego temat mieli nawet jego najbliżsi przyjaciele, przede wszystkim przyjaciółki, bo mam wrażenie, że ich mogło być więcej. A wiem to dlatego, że przeczytałam książkę "Anioł i twardziel. Biografia Romana Wilhelmi". Książkę tę napisała dziennikarka i autorka książek, Magda Jaros, która przyjęła zaproszenie i jest dzisiaj Waszym i moim gościem, i o tej książce, a tak naprawdę o tym, jaki był Roman Wilhelmi, będziemy dzisiaj wspólnie rozmawiać. Witam w Audycjach Kulturalnych.**

MAGDA JAROS: Dzień dobry i bardzo dziękuję za zaproszenie.

ALEKSANDRA GALANT: **Myślę, że wątków, które mogłyby otworzyć tę rozmowę, jest bardzo wiele, ale zacznę od tego, który zwrócił moją uwagę najbardziej. Bo zdarza mi się rozmawiać z biografiami, z osobami, które starają się odtworzyć losy czy historię danej postaci, i wielokrotnie zadawałam pytania o to, czy bohatera, którym biograf się zajmuje, da się nie lubić. Tymczasem pani książkę otwiera takim stwierdzeniem, że Roman Wilhelmi panią irytuje. Chciałam zapytać właśnie o tę relację postać-biograf, po drugie, co wydaje się naturalne, dopytać o to, czym on tak bardzo irytuje.**

MAGDA JAROS: Przystępowałam do pracy na tą książkę z takim może nie uprzedzeniem, ale na pewno sceptycyzmem. Jest to kategoria mężczyzn, którym w życiu wiele uchodzi na sucho, którzy zawodzą, nie idą przez życie prostymi ścieżkami, którzy pewnie nie zawsze wobec bliskich przyjaciół, kobiet są fair, a jednak się ich kocha i jednak się im bardzo wiele wybacza. Jak się zastanawiałam, dlaczego im się wybacza, to pewnie w przypadku Romana Wilhelmi mogło chodzić o jego ogromny talent, który był po prostu jak tarcza, który go ochraniał i myślę, że on w taki trochę prześmiewczy sposób pokazywał: "Mogę więcej, no i tak jest, i co mi zrobicie. Po prostu mogę więcej".

ALEKSANDRA GALANT: **To jest strona Romana Wilhelmi, której ja nie znałam, którą książka mi przybliżyła i była dla mnie tym bardziej zaskakująca, że jest to rodowity poznaniak. Mieszkańcy tej części Polski słyną raczej z pewnej rzetelności.**

Mówi się, że to jest ten pruski porządek, ład. Natomiast pani, pisząc książkę, powołując się na wypowiedzi osób, które towarzyszyły mu, które z nim pracowały, udowadnia, że to był człowiek zawodny. Oczywiście kwestia jego talentu nie podlega dyskusji, natomiast okazuje się, że wielu produkcji mogłoby nie być. Rozczuliła mnie historia, gdzie między dniami zdjęciowym Roman Wilhelmi pojechał do Bułgarii, jako miłośnik kąpieli słonecznych opalił się na skwarę i okazało się, że kontynuacja zdjęć do filmu staje pod dużym znakiem zapytania. Tak naprawdę pojawił się człowiek, który wyglądał zupełnie inaczej.

MAGDA JAROS: To akurat chodziło o "Kariere Nikodema Dyzmy", dlatego że on z "Kariery Nikodema Dyzmy" poleciał się opalić w tej Bułgarii i wrócił z takiego kurortu wspaniałego na plan i w lata 20., kiedy ludzie w ogóle się nie opalali, więc wyobrażam sobie, że charakterystyki miały z nim naprawdę ciężki orzech do zgryzienia, żeby go pokazać tak w ujęciu, jak to było wcześniej, zwłaszcza że grał z Grażyną Barszczewską, która ma porcelanową, bardzo jasną karnację. Wracając do jego poznańskości, to ja myślę, że on na pewno wyniósł z domu ogromny porządek, bo mama nie była poznanianką, ale pochodziła z Wielkopolski, oboje rodziców pochodziło z Wielkopolski. No i usłyszałam historię, że pani Wilhelmina, tak nazywano mamę Romana, była osobą niezwykle trzymającą twardą ręką dom i swoich 3 synów, i oni w dzieciństwie, za równo złożone i ułożone ubrania na stołeczku dostawali w nagrodę cukiereczka. Więc tutaj myślę, że ta poznańskość w nim była. No ale wydaje mi się, że dla artysty i dla takiej wolnej duszy nie ma nic gorszego, niż włożenie jej w ramy i właśnie próba ukształtowania na taki właśnie obraz bardzo solidnego niezawodzącego człowieka. I później, już jako aktor i w dorosłym życiu, on miał dwa oblicza. Bo jeśli spojrzymy na jego pracę na planie czy w teatrze, no to on był bardzo zorganizowany, bardzo się przygotowywał do roli i bardzo był taki konsekwentny w tym swoim artystycznym działaniu. Natomiast rzeczywiście, no w życiu prywatnym był innym człowiekiem, który zawodził, który nie dotrzymywał słowa, i pewnie przy okazji ranił.

ALEKSANDRA GALANT: **Oglądając go na ekranie, na pewno wszyscy byliśmy pod wrażeniem ogromnego czaru, wdzięku, który pewnie rzadziej był kojarzony z cechami, o których teraz rozmawiamy. Moim zamierzeniem nie jest skupiać się na nich, po prostu to są elementy, które mnie bardzo zaskoczyły. Tak samo jak to, że on nie był postacią tak bardzo powszechnie lubianą, jak by się mogło wydawać. W książce przytacza pani taką historię, jak sam sobie urządził jubileusz pracy w Teatrze Ateneum, który to polegał na tym, że kupił sobie ciastko, zapalił świeczkę i potem sam to ciastko zjadł.**

MAGDA JAROS: Siedząc na schodach Teatru Ateneum w Warszawie. Tak, bo my znamy Romana Wilhelmięgo z ekranu jako wulkan energii, człowieka czarującego. Rzeczywiście ten czar miał i on w życiu też mu jakoś tam pomagał i służył czasami, ale ten drugi Roman Wilhelmi, prywatny, był człowiekiem bardzo osobnym, może nie samotnikiem, ale takim naprawdę chodzącym własnymi drogami. Co więcej, osobą, która nie znosiła wszelkiego rodzaju układów, koterii. Anegdota na temat Teatru Ateneum, w którym w dobrym tonie było granie w kości, i to był ten słynny stolik pokryty zielonym sukniem, przy którym wszyscy namiętnie grali w kości, a ponieważ wszyscy to robili, no to Roman Wilhelmi nie. I pewnie ta jego osobność, a jednocześnie anegdoty i legendy, które na swój temat wymyślał, a potem naprawdę z wielkim

smakiem kolportował, powodowały, że on z jednej strony był, tak jak mówiłam, osobny, ale z drugiej strony środowisko na niego patrzyło, delikatnie mówiąc, z przymrużeniem oka. Że się wydawało, że ten Roman, Romenio, to właśnie taki wesołek, na pewno nie intelektualista. Jeszcze nie był lubiany z jednego powodu, o tym warto powiedzieć. Bo był bardzo trudnym partnerem w pracy. I reżyserzy, i koledzy, którzy się z nim spotykali głównie w pracy nad premierą teatralną, bo jak wiemy, te przygotowania trwają znacznie dłużej niż wejście na plan i nakręcenie filmu czy serialu, więc on słynął z tego, że bardzo długo nie pokazywał swojej roli, że on tak jakby grał na 30%, i to wszystko, co chciał pokazać, trzymał do próby generalnej. W związku z tym reżyserzy musieli mu zawierzyć, że rzeczywiście on wie, jak konstruuje tą postać, tak samo partnerzy. A jeśli chodzi o partnerów, potrafił być okrutny. Bo jeśli miał przy sobie partnera, któremu dorównywał, to on wiedział, że on z tym człowiekiem pójdzie wysoko i po prostu stworzą fantastyczną rolę, i on wtedy w ten układ wchodził, ale jeśli miał przy sobie osobę mniej utalentowaną, no to wtedy dawał odczuć, że on po prostu nie ma z kim grać, nie ma co grać, więc pewnie suma tych wszystkich elementów sprawiła, że środowisko troszkę z niego się śmiało, niezbyt go lubiło, no i miał opinię człowieka trudnego.

ALEKSANDRA GALANT: A czy zgodziłaby się pani z takim stwierdzeniem, że jego talent nie został do końca wykorzystany? Ja nie mówię tylko o tym, że on bardzo wcześnie zmarł, bo przecież to był człowiek, który miał pięćdziesiąt kilka lat, ale kiedy on był u takiego swego szczytu kariery, kiedy miał ogromne możliwości i fizyczne, i sceniczne, to jednak to nie zawsze były główne role. Gdybyśmy pewnie zapytali dowolnej osoby, przechodnia na ulicy, Roman Wilhelmi, to zapewne usłyszeliśmy o serialu "Alternatywy 4", może "Kariera Nikodema Dyzmy" i wydaje mi się, że zestawiając to z jego ambicjami, człowieka, który marzył o Oskarze, który marzył o podbiciu Hollywood, nie wiem, czy to było to, co chciał osiągnąć.

MAGDA JAROS: Oczywiście. I to było za mało, ale pewnie mu zawsze było za mało, bo chcę wierzyć, że on miewał momenty takiego artystycznego spełnienia i szczęścia, ale to były momenty, bo tak naprawdę bardzo dużo od siebie wymagał, bał się kolejnej roli, wejścia w kolejny spektakl czy film i wtedy rzeczywiście przeżywał rozterki. Absolutnie tak. Roman Wilhelmi zaczął w Teatrze Ateneum z bardzo wysokiego c, bo zagrał główną rolę Stanleya Kowalskiego w "Tramwaju zwanym pożądaniem". Najpierw ten spektakl wyreżyserował prof. Aleksander Bardini w szkole teatralnej, a później to razem ze swoim rokiem poszedł do Teatru Ateneum i tam była premiera, taka sceniczna, dla Warszawy, i to była wielka rola. A potem przez kolejnych 10 lat, to chyba jedno z najsmutniejszych zdań, które ja przeczytałam, przygotowując się do tej książki, kiedy powiedział, że on przez 10 lat nie miał na co zaprosić rodziców do Warszawy do teatru, bo właściwie można go było poznać tylko po głosie i gdzieś tam przechodził po scenie, i był milicjantem trzecim czy giermkim króla. À propos króla, to on w "Krzyżakach" podaje dwa nagie miecze Jagielle, i potem już go więcej na ekranie nie ma. Więc wydaje mi się, że te 10 lat były dla niego bardzo trudne i takie emocjonalnie musiały być wyczerpujące. Kiedy zestawimy jego ogromną ambicję i takie poczucie, że on naprawdę jest dobry, bo on to wiedział, z tym, że nie ma dla niego ról, to musiało być bardzo trudne. No a potem kiedy zagrał w "Czterech pancernych i psie", no to znowu na kolejne 6 lat trafił do pancernej, niestety, szuflady, z której mu było się dosyć trudno wydostać. Więc tak naprawdę ta jego kariera ruszyła gdzieś w końcu lat 70., na początku lat 80., i miał 10 bardzo

intensywnych lat pracy, kiedy nadrabiał, mam wrażenie, biorąc różne projekty. Na szczęście w większości to były fantastyczne role, ale też ma na swoim koncie kilka aktorskich pomyłek. I był koniec. Zmarł w wieku 55 lat. Mi jest szkoda, że ten ogromny talent nie został wykorzystany, a przede wszystkim jest mi szkoda, że zmarł tak młodo, bo pewnie by zagrał wiele genialnych ról i byłaby to ogromna uczta i dla wielbicieli teatru, i dla miłośników kina.

ALEKSANDRA GALANT: **Przywoływałyśmy już tytuły filmów, seriali, padały także tytuły spektakli teatralnych. Natomiast ja chciałam przywołać jeden, który opisuje pani w książce bardzo szeroko. Udział Wilhelmi w tym spektaklu pewnie mógł być, i pewnie był, nazywany pewną zdradą, bo przez 30 lat Roman Wilhelmi był związany z Teatrem Ateneum, a tu nagle, i to jeszcze jako zastępstwo dla Wojciecha Pszoniaka, pojawił się na deskach Teatru Powszechnego, Zygmunt Hübner i "Lot nad kukułczym gniazdem". I pani opisuje, że to jest właśnie ten spektakl, który bardzo, chyba najbardziej z udziałem Wilhelmi chciałaby zobaczyć.**

MAGDA JAROS: Tak, gdybym mogła cofnąć czas, to bardzo bym chciała znaleźć się na tym spektaklu, bo to było naprawdę fantastyczne wydarzenie i to była przede wszystkim nieprawdopodobna obsada, bo wystarczy powiedzieć, że siostrę oddziałową, siostrę przełożoną grała wspaniała Mirosława Dubrawska i Franciszek Pieczka w roli wodza. Ja właśnie pytałam, nie będąc aktorką przecież, więc nie znając teatralnych realiów, pytałam przyjaciela Romana Wilhelmi w tamtym czasie, czy to była zdrada. Użyłam takiego porównania, czy to było tak, jakby w dwóch piłkarskich drużynach bardzo mocny zawodnik poszedł grać do przeciwnego klubu. Usłyszałam, że nie. Bo to jednak tak nie było, że już w tych czasach to nie było tak często jak teraz, ale rzeczywiście aktorzy gościnnie gdzieś występowali. Bardziej chodziło o to, że cały teatr, i to też znowu pokazuje, jakie było podejście zespołu, z Romana Wilhelmi za plecami się śmiał, że jest samobójstwem wziąć rolę po Wojciechu Pszoniaku, taką ogromną i taką charakterystyczną, i że na pewno się wyłoży na tej roli. I wydaje mi się, że pewnie po cichu, może zacierano ręce. Natomiast nie tylko Roman Wilhelmi sobie z tą rolą poradził, ale zdaniem wielu zagrał ją lepiej, w bardziej złożony sposób niż pan Wojciech Pszoniak, i potem tematem rozmów w bufecie teatralnym stało się niebotyczne honorarium za ten spektakl, jakie dostał, to było ponad 1000 zł wtedy. Taka normalna stawka za spektakl to było około 250 zł, no i to było oczywiście przedmiotem wielkiej zazdrości.

ALEKSANDRA GALANT: **W jaki sposób Roman Wilhelmi stał się, no właśnie, Nikodemem Dyzmą?**

MAGDA JAROS: To już był początek lat 80., czyli taki czas, kiedy pewnie w Polsce politycznie działo się bardzo słabo, natomiast kultura miała to, czego w tej chwili dosyć często nie ma, czyli miała pieniądze, czas i dostęp do najlepszych scenografów, aktorów. Przyszła propozycja zagrania "Kariery Nikodema Dyzmy". Przeczytałam i też cytuję wypowiedź Wilhelmi na ten temat, kiedy mówi, że on się bał tej roli, bo po pierwsze w tym spektaklu, w latach 50. zagrał Adolf Dymśa, i to był jakiś taki pierwszy Nikodem Dyzma, a po drugie mówił, że zastanawiał się, jak rozłożyć aktorskie środki na 6 filmów, bo on mówił, że to były raczej bardziej filmy niż odcinki, bo rzeczywiście, jak oglądamy serial, to widać, że każdy jest zamkniętą całością, wspaniale zmontowaną i absolutnie przyciągającą uwagę widza, więc to była jego opinia.

Opinia przyjaciela jest taka, że on przede wszystkim bał się kolejnego serialu, bał się tego, że znowu wejdzie w szufladkę, bo miał z serialem, jak wiemy, złe doświadczenia i dopiero fortel, który polegał na tym, że Maciej Domański, czyli przyjaciel i reżyser powiedział, że rolę zgodził się zagrać Jerzy Stuhr, no i jak sobie wyobrażam temperament Romana Wilhelmi i jego pojmowanie siebie w tym zawodzie, no to pomyślał: "Jak to, ktoś ma mu taką rolę sprzątnąć sprzed nosa?". Zgodził się i stworzył jedną pewnie z najlepszych swoich kreacji. Wydaje mi się, że w tej chwili myśląc o Nikodemie Dyzmie, widzimy jego z jego szelmowskim uśmiechem, tym błyskiem w oku, charakterystycznym nosem, podniesionym palcem. Czasami się zastanawiam, czy któraś z telewizji streamingowych się zdecyduje na zrobienie remake'u czy współczesnej wersji, tak jak się stało np. ze "Znachorem". I wydaje się mi się, że będzie to bardzo duże wyzwanie, byłoby to bardzo duże wyzwanie dla aktora, który miałby zagrać postać Dyzmy.

ALEKSANDRA GALANT: To takie nawiązanie wydarzyło się pewnie kilkanaście lat temu, kiedy Cezary Pazura wcieli się w Nikosia Dyzmę. No i to był film oceniany na pewno niejednoznacznie. Wyzwanie było bardzo duże, ale też była to odrobinę inna koncepcja. Natomiast jest taki film, który z pewnością jest arcydziełem i w którym Roman Wilhelmi zagrał postać drugoplanową, ale to jest jedna z tych kreacji, które trochę kradną czas na ekranie. To są "Zakłęte rewiry", to jest Janusz Majewski, rok 1975. Film, wydaje mi się, tak szeroko kojarzony z debiutem Marka Kondrata, natomiast okazuje się, przy takim bardziej wnikliwym seansie, że tak naprawdę to, co dzieje się za głównym bohaterem, być może jest nawet cenniejsze.

MAGDA JAROS: No to jest fantastyczna rola Romana Wilhelmi. Ja chyba, nie wiem, czy ją lubię najbardziej, ale no jest to jedna, naprawdę, z wybitnych kreacji. Janusz Majewski, z którym mi się udało porozmawiać na krótko przed jego śmiercią, powiedział, że jego zdaniem, być może to nieskromnie brzmi w ustach reżysera, ale jego zdaniem to jest najlepsza rola Romana Wilhelmi. I to było naprawdę bardzo ciekawe spotkanie, dlatego że Roman Wilhelmi był starym wyjadaczem aktorskim i miał warsztat, i miał całą swoją świadomość aktorską. Natomiast Marek Kondrat był na początku zawodowej drogi. Pytałam właśnie o zderzenie Marka Kondrata. On powiedział, że ta rywalizacja to potem są takie konstrukcje, które ludzie, znając kontekst i oglądając film, sobie wymyślają i zadają pytania, ale z kolei Janusz Wiśniewski powiedział, że wtedy był taki zwyczaj, że oglądano materiał po prostu w sali kinowej. No wiadomo, jak kiedyś nagrywano film. Był pierwszy pokaz, na który przyszedł Roman Wilhelmi, spojrzał na ekran, zobaczył siebie i Marka, i powiedział jego ulubione powiedzenie: "Starenia, Marek gra jak anioł, to ja się muszę postarać". I prawdopodobnie w sposób nieświadomy doprowadził, to znaczy Wilhelmi świadomie, ale Marek Kondrat pewnie nie, doprowadził właśnie do rywalizacji, do tego, że tych dwóch bohaterów jest fantastycznych i to pewnie znowu jest nawiązanie do tego, o czym mówiłam przy okazji premier teatralnych, że kiedy Wilhelmi wiedział, że ma przy sobie, u swojego boku super partnera, no to wtedy osiągał szczyty, no i w "Zakłętych rewirach" na pewno mu się to udało.

ALEKSANDRA GALANT: Przypomniały mi się przy tej okazji słowa, które pani przytacza, które Roman Wilhelmi wypowiedział, uzasadniając, dlaczego zdecydował się na to, żeby zostać aktorem. I odrzucił wszystkie naturalnie przychodzące do głowy powody. Powiedział, że on nie kocha telewizji, nie kocha seriali, nie kocha filmów, nie kocha teatrów. On kocha siebie jako aktora, on kocha

siebie w tym zawodzie. On był świadomy, że jest świetnym aktorem, a tymczasem tutaj, debutant.

MAGDA JAROS: Tak naprawdę cały zespół aktorski pracuje na sukces filmu i pewnie to, że Marek Kondrat grał jak anioł, cytując Wilhelmię, było czymś, co go bardzo motywowało. Janusz Majewski powiedział też, że na tym planie Roman Wilhelmi zachował się fantastycznie. Tam przecież było wielu młodych aktorów, on się nimi opiekował. Też spotkałam aktora, który grał z Wilhelmiem jako dziecko, partnerował mu w filmie "Mniejsze niebo" Kuby Morgensterna. Też właśnie usłyszałam, że fantastyczny był na planie, że się opiekował, że gdzieś tam otaczał dobrą aurą, ale te słowa, które pani przytoczyła, że on kocha siebie w tym zawodzie, po pierwsze, wydają mi się bardzo mocne. Jestem pewna, że dzisiaj żaden aktor by tak nie powiedział z różnych powodów. I to też gdzieś tam pokazuje taką jego przekorę, bo on mówiąc to, wiedział, że znowu będzie przedmiotem żartów, może drwin nawet.

ALEKSANDRA GALANT: **Przywołała pani słowa Romana Wilhelmi, które on powiedział, widząc, jak gra Marek Kondrat, że on gra jak anioł. No i niech te słowa będą takim naturalnym wstępem do wątku, którym chciałabym zakończyć naszą rozmowę, czyli "Alternatywy 4". Serial "Alternatywy 4" miał swoją premierę 8 lat po "Zaklętych rewirach", w 1983 roku. O tym serialu myślałam trochę, rozpoczynając naszą rozmowę od słów, że byli tacy bohaterowie, którzy nam towarzyszyli, którzy po prostu byli, bo też ten ekran, w którym sobie te "Alternatywy" płynęły, pamiętam, byłam też bardzo zdziwiona, kiedy się zorientowałam, że to był bardzo krótki serial. Nie można odmówić Romanowi Wilhelmiemu tego, że wykreował postać, która została właściwie z pokoleniami.**

MAGDA JAROS: To było też takie, wydaje mi się, fajne spotkanie, bo z jednej strony Roman Wilhelmi, czyli wulkan energii, dosyć często osoba nadekspresyjna i taka bardzo pokazująca emocje, a z drugiej strony reżyser Stanisław Bareja, który słynął z tego, jak opowiedział mi pan Janusz Płoński, scenarzysta "Alternatyw", że on nie bał się, mówiąc kolokwialnie, jechania po bandzie, że on pewne historie komediowe, chociażby to nie z "Alternatyw", ale z "Misia" słynna scena z barem mlecznym z przykręconym miskami i łyżkami, tak nie było. Ale on w sposób świadomy sytuacje absurda doprowadzał do jakiegoś maksimum. No i tutaj mamy Romana Wilhelmi, który kochał grać, który kochał być ekspresyjny, który kochał pokazywać swoje aktorskie możliwości, no i to jest dla niego taki popis tego, co on potrafi, taki popis komediowy. On opowiadał, że on lubił grać w "Alternatywach", bo wcześniej miał na swoim koncie, właśnie na początku lat 80. przynajmniej trzy takie bardzo trudne emocjonalnie role. Myślę o roli w filmie "Ćma" Tomasza Zygadły, o filmie właśnie "Mniejsze niebo", o którym wspomniałam, i o filmie Piotra Szulkina "Wojna światów – następne stulecie". W związku z tym to był taki naprawdę trudny ładunek emocjonalny. A wydaje mi się, że te "Alternatywy" to była jego zabawa. Tam jest taka scena, którą można sobie odtworzyć, nie oglądając całego serialu. Funkcjonuje pod nazwą "etiuda z sopel". I historia z tej sceny jest następująca. Na planie zdjęciowym pewnie czekano na zmianę ujęcia i na zmianę ustawienia świateł, i w tym momencie Roman Wilhelmi zagrał etiudkę studencką, że sopel wpadł mu za kołnierz, no i co się działo, jak ten sopel mu się roztopiał. Było to tak genialne, że wszyscy śmiali się, bo robił to fantastycznie. I Stanisław Bareja, który bardzo czerpał od aktorów i właśnie od takich scen, które się odbywały nagle i nie były zaplanowane, poprosił, żeby to zagrał jeszcze raz, to weszło

do serialu, chociaż niekoniecznie w tym serialu pasuje. Janusz Płoński powiedział, że to scena kompletnie od czapy, no ale skoro Wilhelmi tak to zagrał, no to też świadczy o tym, jak on się w tym serialu bawił, jak on się tam dobrze czuł.

ALEKSANDRA GALANT: **W trakcie naszej rozmowy omówiliśmy zaledwie kilka ról, które na swoim koncie miał Roman Wilhelmi. Tych ról filmowych, serialowych i teatralnych. Natomiast dużo więcej ich i związanych z nimi historii znajdziecie w książce "Anioł i twardziel. Biografia Romana Wilhelmi", której autorka, Magda Jaros, była dzisiaj Waszym i moim gościem. Bardzo dziękuję za rozmowę i za to spotkanie.**

MAGDA JAROS: Dziękuję bardzo i zachęcam do lektury.

LEKTOR: Audycje Kulturalne – w dobrym tonie.